

# Zajdziński, Tadeusz

---

## Prawda o Piedimonte

---

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 16, 135-144

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Potem zabrali nas w inne miejsce. Przeszedłem dalej cały szlak: Porto San Giorgio, Porto Recanati, Falense, Pesaro aż do samej Bolonii. Byłem we wszystkich bitwach, a Pan Bóg mnie jakoś ocalił, bo kto tam przeżył, to był cud.

Wróciłem do Kraju, do Bieżunia. Jestem prostym człowiekiem, robotnikiem, myślałem więc, że w tym ustroju będzie mi dobrze, ale tak nie było. Pepeerowcy, UB, milicjanci prześladowali mnie przez długie lata. Nie mogłem dostać pracy – mówili drwiąco, żebym poszedł do Andersa, to mi da pracę. Dopiero pan Gołębiowski załatwił mi robotę.

Nie zapomnę, jak jeden z bieżuniaków, milicjant, kiedy chciałem w GS kupić węgla, powiedział: „Ty chcesz węgla? Możesz bobami palić. Idź na paśniki i nazbieraj. Węgiel jest dla przywoitych ludzi!”. To była wielka krzywda wyrządzana przez całe lata żołnierzom, którzy przeszli fronty w 1939 roku, radzieckie łagry i cały bojowy szlak Drugiego Korpusu, którzy walczyli o Polskę pod Monte Cassino. Nie chcę wymieniać nazwisk tych pacholków Stalina – niech osądzi ich sprawiedliwość Boska. Dożyłem 81 lat i dopiero od niedawna mogę odetchnąć wolną pierśią.

Tadeusz Zajdziński

## Prawda o Piedimonte<sup>\*)</sup>

Dnia 19 maja 1944 r. tzw. grupa płk. Jana Lachowicza, w której był 18. Lwowski Baon Strzelców pod dowództwem majora Franciszka Osmańkiewicza (płk. Domoń był ranny) schodziła ze wzgórza „Widmo” w kierunku S.V. Lucia. Po drodze spotkaliśmy patrol kilkunastu ludzi z 18. baonu pod dowództwem ppor. Aleksandra Łukaszyka. Pułkownik Lachowicz zapytał Łukaszyka, co widzieli w S.V. Lucia? Łukaszyk odpowiedział, że zostali ostrzelani i wycofali się. „Czy więcej coś stwierdziliście?” — pytał płk. Lachowicz. Podporucznik Łukaszyk nie odpowiedział. Na to pułkow-

\*) Skrócony tekst relacji porucznika Tadeusza Zajdzińskiego podaje Melchior Wańkiewicz w swojej książce pt. „Monte Cassino”. I.W. PAX 1979 s. 513-517.

nik Lachowicz: "To za mało". Patrol Łukaszyka dołączył do baonu i razem schodziliśmy ścieżkami w rejon częściowo zadrzewiony. Po chwili, po rozpoznaniu i stwierdzeniu, że w S.V. Lucia nic nie ma, że jest wolne, pułkownik Lachowicz zwrócił się do majora Franciszka Osmakiewicza: "Panie majorze, trzeba wysłać patrol oficerski w sile 15 ludzi do Piedimonte, ale z energicznym dowódcą". Rozmowę tę wszyscy słyszeliśmy. Major Osmakiewicz odpowiedział: "pójdzie por. Zajdziński", zawołał mnie i wydał rozkaz: "Jako patrol z 15 ludźmi pójdziecie do Piedimonte i starajcie się zająć je przed Anglikami, którzy chcą także zająć tę miejscowość".

Wybrałem 15 ludzi; większość była uzbrojona w pistolety maszynowe, 1 rkm., 1 wyborowy strzelec z karabinem z lunetką, każdy miał 2 do 4 granatów oraz ile kto chciał amunicji do swego pistoletu maszynowego czy karabinu. Następnie mówię: "Panie majorze, przecież ja jestem obecnie dowódcą kompanii. Kto zostanie z kompanią? Ja wyznaczę kogoś, np. chorążego Cellera. Zabiorę także radio 18" — i wzywam to radio do siebie. Ale słyszę: "Panie poruczniku, muszę się zestroić, a to potrwa najmniej 5 minut". Na to major Osmakiewicz: "Radio wam niepotrzebne, śpieszcie się, aby uprzedzić Anglików, my zaraz idziemy za wami". Pytam, jak będę składał meldunki? Major na to: "My idziemy zaraz za wami, najpóźniej za godzinę". Trochę niezadowolony z takiego rozkazu i zły powiedziałem jeszcze majorowi Osmakiewiczowi, że ja inaczej postanawiam wykonać zadanie. Otóż nie pójdę z patrolem jedną dróżką, ale dwiema. Ja z ośmioma ludźmi pójdę dróżką, wyznaczoną przez d-cę baonu, majora Osmakiewicza, a druga część patrolu pod dowództwem mojego zastępcy, plut. podchorążego Ludkowskiego pójdzie równoległą ścieżką od nas na lewo, w odległości około 300 m. Żeby nie wpaść w jakąś zasadzkę, będziemy posuwać się na przemian skokami, utrzymując ze sobą łączność wzrokową, żebyśmy mogli w razie wypadku udzielać sobie wsparcia. Major powiedział: "Może to i lepiej, idźcie, aby szybko". Wówczas wydałem rozkaz: "Plut. pchor. plus siedmiu ludzi (byli już wyznaczeni) pójdziecie tą — wskazałem — ścieżką, a ja z drugą częścią patrolu pójdę tamtą ścieżką" — również pokazałem im w terenie.

Dokładnie nie pamiętam, ale była godzina gdzieś około szesnastej, w każdym razie dopiero po południu. Słońce było wysoko i świeciło jasno, dzień był gorący i bez chmur. Ruszyliśmy ostro. Najpierw ja ze swoimi chłopcami do zasłony, a potem oni i tak krótkimi, szybkimi skokami na

przemian doszliśmy do Piedimonte z dwóch stron. Według ustalonego działania, po krótkiej obserwacji, nasłuchiowaniu i stwierdzeniu, że nic nam nie grozi, ja pierwszy skoczyłem z trzema ludźmi na skraj m. Piedimonte. Po przepenetrowaniu i stwierdzeniu, że nic nie ma, zostawiłem rkm. na stanowisku i dwóch ludzi do ewentualnej osłony i wsparcia, a z sześcioma ludźmi opanowaliśmy pierwsze uliczki i wyloty skrzyżowań. Następnie dałem znak pchor. Ludkowskiemu, który podobnie rozpoznał ze swej strony skraj i pierwsze budynki i na umówiony znak ostrożnie posuwaliśmy się w głąb miejscowości. W czasie naszego działania dostaliśmy się na drugą stronę m. Piedimonte, gdzie rozpościerała się równoległa równina. Ruchu żadnych wojsk nie widzieliśmy. Na placu – niby ryneczku – zdobyliśmy moździerze, ale ich nie niszczyliśmy, bo przecież za nami szła cała grupa, moździerze wykorzystamy przeciwko Niemcom.

Podchorąży Ludkowski poszedł ze swoimi chłopcami i przeszukał ruiny, bo Piedimonte to tylko same ruiny i tylko w jednym zakamarku przemknął mu jeden hitlerowiec, jak mi potem powiedział, ale gdzieś im zniknął. Po krótkiej naradzie z Ludkowskim i z chłopcami, że nic groźnego nie ma, wysłałem dwóch gońców – st. strz. Maculewicza, drugiego nie pamiętam – z meldunkiem do majora Osmakiewicza. “Piedimonte zdobyte, ale żeby miejscowość utrzymać potrzebna natychmiastowa pomoc. Proszę, aby Pan Major natychmiast maszerował z resztą wojska”.

Czas szybko leciał, ale nie było widać, żeby nasi szli do Piedimonte. Początkowo nawet nie przypuszczałem, że może być jakaś odmienna decyzja. Po jakimś czasie dostrzeżliśmy kilku Niemców, którzy chcieli przebiec przez mały plac-rynieczonek. Natychmiast posłaliśmy za nimi kilka serii. Jeden padł, dwóch wpadło do ukrytego bunkra i chyba byli ranni. Bunkier był bardzo głęboki i trudno było zaraz za nimi gonić. Rzuciłem tam granat dymiący. Za chwilę padły strzały. Musieliśmy cofać się do ruin. Obstawiałem wszystkie uliczki wylotowe na ryneczonek. Po krótkiej strzelaninie panowaliśmy nad sytuacją, potem znów padła na nas seria ze strony Niemców, ale bez strat. To znaczy, że byli daleko i strzelali niecelnie. Ale czas upływał, a tu naszych nie widać. Chociaż na razie Niemcy nie byli groźni, ale dali znać, że są. Wniosek mój był, że jest ich mało, nie więcej niż nas. Myśmy ich zaskoczyli i dlatego panujemy nad sytuacją. Żeby się pokazała większa grupa naszych wojsk, jestem pewny, że wyszliby z ukrycia i poddali się. Widząc, że pomoc dla nas nie nadchodzi, w jakiś chyba sposób

zawiadomili swoich i dostali posiłki, ale jeszcze pierwszego dnia i nocy było ich niewielu. Moi żołnierze pod wieczór zaczęli się denerwować, ponieważ zostaliśmy odparci od moździerzy i nie udało mi się ich już wtenczas wysadzić. Chociaż myślałem, że robię dobrze, ale okazało się, że moździerze trzeba było zniszczyć. Mimo wszystko do zmroku były one pod naszym obstrzałem i Niemcy do nich nie doszli.

Kiedy byłem już pewny, że zaszło coś strasznego, że nasi nie idą – zdecydowałem się na wycofanie, ale zdawałem sobie sprawę, że nas osaczyli, że zajmują górujące nad nami stanowiska i w czasie wycofywania się wystrzelają nas jak kaczki. Powiedziałem więc swoim chłopcom, a miałem ich jeszcze wszystkich prócz tych dwóch, którzy poszli z meldunkiem do dowódcy baonu majora Osmakiewicza: “Wycofamy się dopiero o zmroku, żeby nas nie widzieli” i wskazałem poszczególnym grupkom, jak mają się wycofywać. Strach jednak już się udzielił i niektórzy nie wytrzymali nerwowo i pomimo mojego ostrego zakazu wycofywania się w tym czasie, poderwali się i zaczęli uciekać. Był to strz. Kołodziejczyk i – zdaje się – Januchta. W tej samej chwili, kiedy poderwali się, padły strzały, a oni zginęli. Było to na oczach wszystkich. Chłopcy moi zrozumieli wówczas, że mam rację i nie można się teraz wycofać, gdyż Niemcy wystrzelają nas jak kaczki, ponieważ będą nas widzieć jak na dłoni: są ukryci w ruinach, może ich być nawet niewielu, ale mają panujące nad nami stanowiska. a teren, przez który trzeba się wycofać, jest odkryty, więc widać każdego jak na dłoni i dlatego nie mamy teraz, w tej porze, żadnych szans wycofania się. Mieliśmy poczekać do zmroku. I tak też się stało. O zmroku dałem rozkaz, aby najpierw po cichu, jak kto może, a potem, gdy już zauważą – wycofywać się biegiem. Pokazałem jeszcze w dzień, w którym kierunku się oderwiemy, aby jak najszybciej odskoczyć od miejsca, w którym jesteśmy.

O zmroku zdarzył się nam ciekawy wypadek. Otóż obok nas ukrytych przechodziło kilku żołnierzy, nawołujących po angielsku, aby wyjść. Nie było ich widać, ale jeden z moich żołnierzy wyszedł skrycie zobaczyć. (Przecież nam kazano się śpieszyć z zajęciem Piedimonte, żeby uprzedzić Anglików – więc może przyszli Anglicy?). Kto to jest? Miał pecha, bo natknął się na nich, a byli to Niemcy. Krzyknęli “Hände hoch!”. Biedak opowiadał: “Podnoszę ręce do góry, a w tym momencie pada obok nas seria pocisków artyleryjskich. Niemcy rozpierchli się, a ja skok zrobiłem

z powrotem do was”. Trzask rozrywających się pocisków i nas zmusił do lepszego ukrycia się w ruinach. Od tej chwili jeszcze bardziej ruszaliśmy się skrycie i ostrożnie, bo wiedzieliśmy, że Niemcy są blisko nas i widocznie na nas polują – robią zasadzkę. Nie było innego wyjścia, jak tylko przedrzeć się przez ich pierścień. Po takiej drugiej serii naszej artylerii dałem rozkaz wycofania się. Skoczyliśmy wszyscy w wyznaczonym poprzecznie za dnia kierunku. Padły na nas serie z ich automatów, rakiety oświetliły cały teren, dały się słyszeć ostre krzyki: “Halt! Hände hoch!”, ale wszyscy rwali do przodu... Ja, ze starszym strzelcem Edwardem Butrą (ogromne i trochę ciężkie chłopisko), trzymaliśmy się blisko siebie, rwąc do przodu. W pewnym momencie Edek pada z jękiem, rakiety rozjaśniają teren, widać goniących nas Niemców i słyszeć krzyki: “Halt! Hände hoch!”. W tym momencie padłem obok niego i całą serię wypuściłem do Niemców, którzy nas ścigali, z za pasa wyciągnąłem granat obronny i w nich rzuciłem. Ogromny huk wstrząsnął całym terenem. Poderwali się z ziemi, ale znów za nami strzały, rakiety i krzyki na całym terenie: “Halt! Hände hoch!”.

Uciekaliśmy różnymi zaułkami przez ruiny i w pewnym momencie wpadliśmy do jakiejś jamy, gdzie tylko ich zaślepienie i zacierzowanie nas uratowało, bo nie zauważyli, jak skuleni siedzieliśmy w kącie na jakimś cuchnącym barłogu. Przelecieli raz i drugi, klnąc, że przecież nie jest możliwe, żebyśmy zginęli. (Tak trochę mogliśmy zrozumieć z ich nerwowych rozmów). Trochę w tej jakiejś niby obórcie odpoczęliśmy, ale dopiero teraz zaczęliśmy odczuwać różne pokaleczenia, obtarcia, zauważyliśmy podarte spodnie i koszule (byliśmy w samych koszulach). Słyszeć było kroki i ciche rozmowy ich patroli. Edek stęka mi, że nie ma sił, tak jest potłuczony i pokaleczony. Piedimonte było wówczas całe w ruinach. Wszędzie głązy, kamienie, szkło, jakieś druty, w ogóle ogromne gruzowisko, po którym nie sposób było zrobić cichego i bezpiecznego kroku.

Przeżywałem wtedy okropne chwile. Jak wydostać się z tej sytuacji, co zrobić, gdzie, a raczej – którędy uciekać? Jak przekonać Edka, że musimy uciec stąd, gdy jeszcze jest ciemno. Edek zgodził się uciekać, ale powiada: “Ja mam niewiele sił, tylko mnie samego nie zostaw!”. Muszę wyjaśnić, że w tym ukryciu, gdzie przez kilkanaście minut siedzieliśmy, powiedziałem Edkowi, że od tej chwili ma mi mówić po imieniu – Tadeusz. Gdyby nam się coś najgorszego przytrafiło – jestem tak samo tylko żołnierzem szeregowcem. Przygotowani na śmierć i na najgorsze cichaczem wypełzli-

śmy z ukrycia i cichutko, ostrożnie przebiegaliśmy od zasłony do zasłony. Ale i to dłużej nam się nie udało. W pewniej chwili widać rakiety i słysząc krzyki: "Halt! Hände hoch!". Rzuciłem w nich ostatnim granatem i wpadliśmy do budynku na samej skarpie, ukrywając się na całkowicie rozbitym pierwszym piętrze między rozwalonymi i potłuczonymi meblami. Za chwilę słyszeliśmy krzyki i kłótnie. Zastanawiali się, gdzie mogliśmy się podziać. Nie przyszło im nawet do głowy, że mogliśmy cichaczem wpaść i ukryć się w budynku, w którym oni na dole – jak to potem zobaczyłem – mają swój punkt oporu. Ja sam dziwię się, że my wpadliśmy tam w cudowny jakiś sposób nie zauważeni i skryliśmy się w tych porozbijanych szafach, kredensach i innych "gratach". W czasie naszej ucieczki Niemców w tym budynku nie było. W pogoni za nami nawet któryś tam wpadł – słyszeliśmy, ale nas na parterze nie było – i pobiegli dalej. My byliśmy już ukryci na pierwszym piętrze między, jak pisałem, rozbitymi meblami. Po jakimś czasie wrócili, kiedy było już widno i żywo rozprawiali, gdzie to mogliśmy się podziać. Słyszeliśmy ich rozmowy, sprzeczki. Potem, jak jedli, nawet jeden z nich wszedł po schodach i popatrzył po rozbitym piętrze, ale dalej nie poszedł i nawet pewnie mu do głowy nie przyszło, że my mogliśmy się tam wśliznąć i ukryć.

Byliśmy okropnie zmęczeni, spragnieni, pokaleczeni, obdarci i głodni. Tam właśnie, na tym rozbitym piętrze, w czasie pięknego, słonecznego dnia widzieliśmy siebie, jak jesteśmy wykończeni. Co gorsze, widać było przez rozbite resztki ścian (bo dachu ten dom już nie miał) S.V. Lucia, skąd wysłano mnie z patrolem do Piedimonte i gdzie chyba były nasze oddziały. Cisza była, żadnych wystrzałów, nic na przedpolu się nie działo. Całe szczęście, że mieliśmy jeszcze po trosze herbaty w manierkach i po uświadomieniu sobie, że mamy manierki, że może coś w nich jest – wzmocniliśmy się małymi łykami. Był to już 20 maja, leżenie w gruzach w upalny dzień, zupełnie jak na dachu, odbierało ostatnie siły. Ale wtenczas byliśmy jeszcze młodzi, pełni wiary i w tak krytycznej chwili wierzyliśmy, że przyjdzie odsiecz.

Godzina za godziną upływały, a wokół nas zupełna cisza i spokój. Nagle, w godzinach popołudniowych nasza artyleria dała ognia tak, że gruzы i kikuty rozbitych budynków sypały się, zdawało się, że nas zmiecie z tego pokładu (jak z dachu). W czasie tego huku i rozrywających się nad nami pocisków przywołuję Edzia Butrę, żeby położył się bliżej mnie, bo zdaje

się, że ja jestem lepiej zasłonięty. Edek mówi, że zasłonił się drzwiami i uważa, że nic mu nie grozi. Po tym moim ostrzeżeniu za chwilę następną serią. Kurz ogromny, krzyki i nawoływania Niemców i o zgrozo! – za chwilę Edek woła, że jest ranny. Zdawało mi się, że i ja oberwałem, ale nic nie mówię i natychmiast podsuwam się do niego. Jęczy i mówi, że traci wzrok. Ja mówię do niego szeptem wprost do ucha, żeby nie jęczał, że musi wytrzymać, bo inaczej to z nami już koniec. Niemcy usłyszą i zaraz nas stąd ściągną. Uspokoił się trochę, ale po chwili znowu jęczał. Zasłaniając mu usta brudną chusteczką i przypominam sobie, że w kieszeni bocznej mam bandaż. Po cichutku zdjąłem mu hełm i patrzę, a to odłamek wielkości orzecha utkwił u podstawy czaszki z tyłu głowy. Nic innego nie mogłem zrobić, jak tylko tym bandażem opatrzeć, owinać mu głowę w miejscu ranienia i tłumaczyć, że będzie dobrze. Uspokaja się na chwilę, ale potem znowu jęczy, bredzi i mówi do mnie, że nie widzi, że stracił wzrok. Przecież to ogromnie bolało. Jednak ma trochę świadomości, bo jak mówię, że na dole są Niemcy, a jak będzie jęczał, to usłyszą i z nami będzie koniec – przestaje. Ja cały czas ślęczę nad nim. Leżąc i klęcząc uspokojam Edka, żeby leżał cichutko, bo niedługo nasi przyjdą odbiją nas i wszystko będzie dobrze. Zabiorę go do szpitala i będzie zdrow. Uspokaja się, ale za chwilę znowu jęczy. Ja ponownie zatykam mu usta chustką. Nie wiem, co mam zrobić więcej – jak mu pomóc? Tylko na tyle mnie w tych warunkach stać.

O zmroku słyszę, jak por. Władysław Przybylski – dowódca 2. kompanii 18. LBS łamaną niemieczyzną nawołuje Niemców, aby się poddali. Słyszę, że ci pod nami zaczynają ze sobą gwałtownie rozmawiać i za chwilę posyłają w stronę głosu kilkanaście serii z rkm. Porucznik Przybylski jeszcze raz nawołuje Niemców do poddania się, a oni odpowiadają seriami z rkm. I cisza znowu panuje nad nami. Edek nadal jęczy, ale ciszej. Woła pić, daję mu resztki z manierki i czuję, że usypia. Widzę, że jest bardzo zmęczony. Obawiam się, że może być coś gorszego, ale czuję, że oddycha regularnie i uspokojam się. Jestem zmęczony do ostateczności, obawiam się usnąć, ale czuję, że klęczę nad nim i śpię. Coś mi się śni – i tak nie wiem, kiedy usnąłem! Widocznie nie mogły mnie obudzić krzyki Niemców, bo kiedy otworzyłem oczy, stało nad nami kilku i wrzeszczeli: “Hände hoch!”. Z trudnością wstając, zdążyłem łamaną niemieczyzną powiedzieć, że mój przyjaciel jest ranny. Ale draby schwycili mnie za ramiona i zrzucili po schodach na dół. Otrzeźwiło mnie to zupełnie. Byłem ogromnie prze-



rażony i wściekły. Zobaczyłem wówczas, gdzie wdarliśmy się – na dole mieli hitlerowcy swój umocniony punkt.

Dlaczego ich tam nie było, jak myśmy tam wpadli? Uważam, że oni ten punkt opuścili, ale kiedy widzieli, że nasi idą, że my nie dostaliśmy pomocy, a wycofujemy się pod osłoną nocy, postanowili się widocznie bronić. Gdyby ich było dużo i urządziliby na nas zasadzkę, zlikwidowaliby nas zaraz po wtargnięciu do Piedimonte. Ale ja miałem za mało żołnierzy, żeby taką sporą miejscowość przeszukać. Ograniczyłem się do ubezpieczenia wszystkich uliczek w centrum oraz do zabezpieczenia dróg wejścia i wysłałem meldunek o zajęciu miejscowości z prośbą o natychmiastową pomoc, aby ją utrzymać. Zupełnie panowaliśmy przez kilka godzin. Niemcy widząc, że nie dostajemy pomocy, nie ważyli się na walkę i gdyby pomoc nadeszła, na pewno byliby się poddali. Ale gdy ich dowództwo przekonało się, że z posiłkami dla nas nikt się nie śpieszy, zaczęli się bronić, a następnie atakować. Jeszcze dwudziestego pierwszego ślali posiłki do Piedimonte, bo sam widziałem, jak mnie odprowadzono, że grupa około 100 Niemców, a może i więcej, szła do Piedimonte. Pytali moich konwojentów, czy dobrze do Piedimonte idą. Odpowiedziano im, że dobrze idą i że już niedaleko. Chwilę rozmawiali z tymi, którzy mnie prowadzili. Dało się zauważyć, że szli niechętnie i byli przygnębieni.

Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że ci, którzy nas zabrali, byli krzykliwi, wściekli i chcieli nas rozstrzelać, a nie odprowadzać. Ale jeden z nich powiedział, że musimy być odprowadzeni do dowódcy. Edek nie mógł iść, ślaniał się na nogach. Ja byłem wymęczony i wycieńczony, prawie trzy dni nic nie jadłem, kręciło mi się w głowie. Powiedzieli do mnie, że swojego przyjaciela muszę zabrać. Edek na pół przytomny jęczy, ale oni są bezlitośni, każą mi go zabrać. Boję się, czy dam radę. Na szczęście należę do tych, co mają trochę “krepy”. Biorę tego wielkiego Edka na plecy i niosę go. Kiedy wyszliśmy na uliczkę zasypaną gruzem, nasza artyleria znowu dała ognia. Posypał się gruz. Szwabi pochowali się pod ściany, a my zostaliśmy w środku. Jednak nic nam się nie stało i za chwilę ruszyliśmy dalej. Ja z Edkiem na plecach – i tak dotarliśmy do głębokiej jaskini, w której było dowództwo.

Edka ode mnie zabrali i więcej go nie widziałem. Mnie zaprowadzono do dowódcy. Był w stopniu kapitana czy porucznika. Pytał, jak się nazywam, jaki mam stopień i z jakiego jestem oddziału. Powiedziałem imię

i nazwisko, potem, że jestem strzelcem i nie pamiętam oddziału, chyba że to kompania sanitarna czy jakaś inna. Udawałem ciemniaka, byłem obdarty i brudny, bez dystynkcji, więc na razie mi się to udawało. Rewizji osobistej prawie nie robili. Radiowe szyfry na cienkiej bibułce, które miałem w kieszeni, udało mi się potem niepostrzeżenie zniszczyć. Okazało się, że jeszcze w czasie ucieczki złapano czterech moich ludzi (pięciu jednak uciekło). Ci właśnie na przesłuchaniu podali moje imię i nazwisko. W nocy przywieźli mnie tam, gdzie oni byli zamknięci, zatrzymali na krótko i wywieźli przez Rzym, Florencję do Niemiec. Za niepowiedzenie prawdy siedziałem w karnej kompanii. Potem zamknęli mnie do aresztu, a następnie przewieźli do więzienia w Brunzswiku.

W Brunzswiku siedziałem w celi sam, przeżyłem 2 ogromne bombardowania, podczas których bomby zniszczyły sąsiednie cele. Ściany mojej celi zarysowały się, szyby powypadały, ale jakoś ja nie doznałem uszczerbku. Do więzienia przynosił mi czasem jeść Czech. Dotąd nie wiem, jak się nazywał. Powiedziałem mu, kto ja jestem i w jakiej byłem armii. On mi powiedział, że tu w Brunzswiku jest obóz oficerski, oflag, i on tam da po kryjomu znać Anglikom. Rzeczywiście zawiadomił, bo po tej z nim rozmowie przyjechali Anglicy i "jacyś" z C.K. i zabrali mnie do obozu – Oflagu Nr 79 w Brunzswiku. Tam już mi było lepiej, bo od 21 maja do połowy października (nie pamiętam dokładnie) miałem bardzo ciężko. W oflagu było znośnie – jedzenie i spanie znacznie lepsze. W oflagu w Brunzswiku spotkałem polskich oficerów, którzy dostali się do niewoli niemieckiej pod Arnhem. Byli oni z Brygady Spadochronowej.

12 kwietnia 1945 r. obóz nasz wyzwolili Amerykanie. Zdaje się, że 15 kwietnia przewieziono nas samolotem do Londynu, a po dwóch dniach skierowano mnie do Centrum Wyszkożenia Piechoty w Crieff w Szkocji, gdzie wówczas komendantem był płk. Walenty Peszek. Pułkownik Peszek przyjął mnie bardzo życzliwie. Byłem bardzo rozżalony tym, co mnie spotkało, ale w naszym 2. Korpusie, kiedy tam przyjechałem, już zapomnieli o tym i kazali przejść do porządku dziennego. Ja dotąd nie mogę zrozumieć, jak można tak szafować żołnierzami i posyłać ich w nieznane, dać rozkaz zdobycia miejscowości, kazać czekać po zdobyciu na resztę oddziału, a potem zmienić decyzję i nie pójść z pomocą, pozostawiając ich na pastwę losu. Potem tę samą miejscowość trzeba zdobywać większymi siłami, bo wróg umocnił się, kiedy się zorientował, że przeciwnicy nie

kwapią się z posiłkami. Stąd też Piedimonte musiała potem zdobywać cała brygada przez 6 dni. Straciła 200 ludzi, 8 czołgów i wiele innego sprzętu. Mówią o sukcesie zdobycia Piedimonte, ale Piedimonte było już zdobyte, tylko trzeba było dać posiłki i utrzymać ruiny miasteczka, a zdobycz była by nie lada. Całe archiwum i moc dokumentów w lochu, gdzie było dowództwo niemieckie. Do tego sporo broni maszynowej i moździerze. Za uciekającym nieprzyjacielem trzeba było iść, a pościg udałby się na pewno. Opieszałość i brak decyzji spowodowały katastrofę – dużo zabitych i rannych, a ja ze swoimi dzielnymi żołnierzami wycierpieliśmy w niewoli. Mnie szczególnie dokuczali, ale nie dałem się załamać. Przetrzymałem wszystkie szykany. Doczekałem końca wojny, lecz stale myślę o tym, jak to można zaprzepaścić udaną akcję.